

Jan Rokita: Partyjniactwo postmodernistyczne

Polskie partie koegzystują dzisiaj w jednym państwie jak wrogie plemiona, które los posadził nad jedną rzeką



Polskie partie koegzystują dzisiaj w jednym państwie jak wrogie plemiona, które los posadził nad jedną rzeką - tekst ukazał się w najnowszym numerze tygodnika Nowa Konfederacja

Wspólny sens i partykularyzm

Tradycyjna krytyka partyjniactwa posługuje się od niepamiętnych czasów trzema zasadniczymi zarzutami. Po pierwsze twierdzi, że partie mają naturalną skłonność do wprowadzania rozłamu tam, gdzie

potrzebna jest zgoda; w związku z czym nazbyt często rujną podstawy egzystencji Rzeczypospolitej.

Po drugie, że partie wypierają ze sfery publicznej dobro wspólne i zastępują je partykularnym interesem, są zatem niegasnącym ogniskiem najróżniejszych odmian korupcji politycznej.

Po trzecie wreszcie, że w miejsce racjonalnego dyskursu o urządzeniu Rzeczypospolitej partie wprowadzają demagogię, w której nigdy nie chodzi o prawdę, lecz jedynie o sofistyczny triumf nad oponentami. Finalnym politycznym skutkiem tych trzech ponurych cech samej idei „partyjności” musi być deprawacja partyjnych systemów selekcji kadr do polityki. Systemy owe odtąd z konieczności promują interesownych demagogów w miejsce ludzi roztropnych i kierujących się cnotą.

Krytyka partyjniactwa nie musi oznaczać przy tym odrzucenia samej zasady partyjnego urządzenia polityki. Rozsądek podpowiada, że ludzka wolność wymaga prawa i możliwości zawiązywania interesownych związków, siejących rozłam i uprawiających demagogię. Krytyka partyjniactwa zakłada jedynie, że najlepszy ustrój to taki, który wprowadza bariery dla rozpasanej partyjności oraz tworzy i ochrania takie instytucje, w jakich przewagę będą mogły zachować rozum, dobro wspólne i zgoda.

W polskiej tradycji politycznej bez wątpienia najwybitniejszym rzecznikiem takiej krytyki jest Józef Piłsudski. W słynnym wywiadzie udzielonym „Kurierowi Porannemu” w przeddzień zamachu majowego

marszałek oznajmiał: „Staję do walki z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści”.

Nietrudno spostrzec, że taka krytyka partyjniactwa implicite wychodzi z pewnych założeń dotyczących natury samej polityki. Jakby powiedział Jean-Luc Nancy, polityka nie może tu oznaczać jedynie „regulowania wspólnej egzystencji”, ale musi także postulować „jakiś sens albo prawdę tej egzystencji”.

Jeśli polityka nie wykracza poza dziedzinę prostego zarządzania sprawami publicznymi, krytyka partyjniactwa obarczona jest nieuchronnie błędem braku swoich podstaw. W imię czego bowiem można by się domagać panowania rozumu, zgody i dobra wspólnego w dziedzinie, w której obowiązywałyby jedynie utylitarne reguły efektywności?

Krytyka partyjniactwa nabiera zatem dopiero znaczenia, jeśli uznać, że prawdziwą misją polityki jest budowanie dobrej wspólnoty, dzięki której jej uczestnicy zyskają realną możliwość i impuls dla coraz bardziej godziwego życia. Nancy powie, że to właśnie wspólnota jest takim ustrojem świata, w którym pomiędzy ludźmi „cyrkułują sensy”.

A jeśli kto podejmie trud wykorzystania narzędzi politycznych dla budowy wspólnoty, wkrótce odkryje pewną bardzo praktyczną prawdę. Tę mianowicie, że nawet najlepsza realna polityka dzieje się w nieustannym wewnętrznym zwarciu pomiędzy tym, co wspólnotowe, a tym, co partykularne. Pomiędzy wznoszeniem gmachu rzeczypospolitej

a zaspokajaniem najbardziej egoistycznych pragnień. Pomędzy spinozjańskim *conatus* pchającym wszelki byt ku perfekcji a zwyczajną entropią, nieustannie rozkładającą nawet najlepiej obmyślane instytucje.

Rzecz jednak w tym, czym jest ta budowana bądź umacniana przez politykę wspólnota i jakie sensory cyrkulują pomiędzy jej uczestnikami? W Europie jeszcze pół wieku temu nie byłoby z odpowiedzią większych problemów. Była nią wspólnota narodowa – polskość, francuskość albo niemieckość – do której odnosiły się najważniejsze sensory ówczesnej polityki.

Partie jako nowe plemiona

Nim nastąpiła jeszcze epoka globalizacji i nim powołana została traktatem z Maastricht Unia Europejska, narody Starego Kontynentu, które ustanowiły swoje państwa, były na dobrą sprawę jedynymi wspólnotami o realnej politycznej istotności. A dla przygniatającej większości Europejczyków było rzeczą dość oczywistą, że narodowość jest ich bezwzględnie pierwszą (jeśli w ogóle nie jedyną) wspólnotą polityczną, do której przynależą i wokół której koncentrują się ich wyższe sensory i uczucia.

Ale od tamtego czasu bardzo wiele się zmieniło. Tradycyjne tożsamości narodowe mocno osłabły, nacjonalizm stał się ideologią oficjalnie wyklętą, a głęboko ludzka potrzeba przynależności do wspólnoty politycznej zaczęła znajdować rozmaite nowe ujścia. Ćwierć wieku temu Michel Maffesoli postawił tezę, że znakiem naszych

„postmodernistycznych” czasów jest w Europie tworzenie się „neoplemion”, które – w jego przekonaniu – zwiastują zanik tradycyjnego indywidualizmu, ale które w jeszcze większym stopniu są produktem słabnięcia więzi narodowych.

Partyjność stała się, przynajmniej dla partyjnych elit, formą tożsamości bardziej pierwotną od narodowości

Dzisiaj jest już całkiem naturalne, że w Europie żyją między nami miliony ludzi, którzy jako swoją ojczyznę traktują nie Polskę, Francję albo Niemcy, lecz polityczną wspólnotę zielonych, feministek, gejów, miłośników zwierząt, grupę etniczną, sektę religijną, korporację biznesową albo... partię. „Jestem na zawsze patriotą PO!” – z dumą oznajmiał niedawno jeden z kluczowych działaczy ugrupowania rządzącego w Polsce, właśnie bezwzględnie odsuwany od wpływów przez swojego przywódcę.

Polska jedność i partyjność

Cały krytyczny nurt polskiej tradycji historycznej – od rodziny Czartoryskich poprzez stańczyków, sanację, a skończywszy na paryskiej „Kulturze” – zwykł przyjmować, że polskość jest w jakiś sposób bardziej niż inne nacje podatna na wszelkie przywary partykularyzmu i partyjniactwa. Tę mantrę ma zakodowaną w głowie bodaj każdy polski inteligent: jesteśmy ponoć sobiepańscy, swarliwi, egzaltowani i przekupni, a naszym narodowym zawołaniem jest „Hajże na Soplicę!”.

Jednak liczne partie, jakie zapełniły polską scenę polityczną po odzyskaniu niepodległości w 1989 r., tylko w bardzo ograniczonym stopniu potwierdziły aktualność owego postsarmackiego stereotypu. Owszem, stosuje się do nich ten zarzut, że bardziej siały polityczny rozłam niżli zgodę i że ten fakt zarówno osłabił tempo modernizacji kraju po komunizmie, jak i przeszkodził w świadomym oraz celowym urzędzeniu instytucji nowego państwa. Dowodzi tego zarówno sławetna „wojna na górze”, jak i przewlekły i wyniszczający konflikt partii z Lechem Wałęsą. Nawiasem mówiąc, konstytucja kwietniowa 1997 r., choć obarczona licznymi wadami, wprowadziła nie najgorsze instytucje mające być bezpiecznikiem przeciw tej anarchicznej skłonności, choćby konstruktywne wotum nieufności.

Jednak nawet w przypadku tego najbardziej zasadnego zarzutu można by przeprowadzić linię obrony tamtych partii, przywołując np. unikalny w skali Europy postkomunistycznej fenomen jedności AWS, który posłużył przeprowadzeniu „czterech reform”. A już całkiem trudno byłoby dowieść zarówno tezy o braku gotowości poświęcenia ówczesnych partii dla wspólnego dobra państwa, jaki i o triumfie demagogii nad rozsądkiem w dyskursie publicznym lat 90.

Cała ideologia „trudnych, ale bolesnych reform”, którą wprowadził do polskiej polityki Leszek Balcerowicz wraz z Unią Wolności i w której sens głęboko wierzyły kolejne solidarnościowe partie i rządy, aż do AWS i gabinetu Jerzego Buzka, była w gruncie rzeczy zaprzeczeniem partyjniackiego stereotypu. Podobnie zresztą jak język debaty o państwie w tamtych latach, odwołujący się nieustannie do wyrzeczeń, poświęcenia dla kraju, pracy dla przyszłych pokoleń. Summa

summarum, tamte ugrupowania, przy wszystkich swoich słabościach i śmiesznościach, były wyraźnie lepsze, niżli chciałby tego ów partyjniacki stereotyp.

Wszystko zaczęło się zmieniać po roku 2005. Do polityki polskiej wtargnęło partyjniactwo ekstremalne, ale nie to z anarchicznego postsarmackiego stereotypu. Polską zawładnęło partyjniactwo „postmodernistyczne”, rodem z neoplemiennych diagnoz Maffesoliego. Owszem, w pełni odnoszą się do niego wszystkie zarzuty tradycyjnej krytyki partyjniactwa. Sianie rozłamu nie jest już tylko fenomenem płynącym z anarchicznej skłonności i ambicji liderów, lecz zasadą egzystencji partii nowego typu, postmodernistycznym przemysłem, dzięki któremu możliwe stało się zdobywanie i utrzymywanie władzy.

Egzekucja partyjnego interesu przestała być w ogóle traktowana jako jakiś wstydlivy przejaw partykularyzmu, ponieważ partyjność stała się, przynajmniej dla partyjnych elit, formą tożsamości bardziej pierwotną od narodowości, straciła zatem etykietę partykularności. Nie bez przyczyny ogarnięty partyjną emocją wybitny reżyser nie waha się publicznie ogłosić, iż Polskę zamieszkują teraz dwa wrogie sobie narody, którymi są platformersi i pisowcy. Zaś wszelka próba racjonalnego dyskursu o problemach państwa, podejmowana przez jakiegoś działacza partyjnego, tropiona jest i napiętnowana jako moralnie naganna zdrada.

Propagandyści partyjni odkryli dziś na powrót znaną z czasów panowania totalitaryzmów wiedzę, iż propaganda integralna jest skuteczniejszym sposobem oddziaływania na masy niżli jawne i uczciwe prowadzenie debaty o polityce. Nie trzeba nawet dodawać,

jakie to wszystko niesie skutki dla selekcji kadr partyjnych. W większości polskich ugrupowań stało się normą, że poza liderem nie ma w nich miejsca dla postaci z autonomicznym autorytetem i polityczną zdolnością sprawczą. W partyjnych wyborach z reguły wygrywają działacze o nikłych horyzontach intelektualnych i bardzo słabych charakterach. A partyjne młodzieżówki stały się szkołami niszczenia charakterów młodych ludzi, aspirujących do udziału w życiu publicznym.

Polskie partie koegzystują dzisiaj w jednym państwie tak jak niegdyś wrogie sobie plemiona, które los posadził nad jedną rzeką. Powoli zapominają już, że obecność owej rzeki niosła dla nich jakieś wspólne sensory wynikające z tego położenia. Że istniała wspólnota losu wynikająca z faktu życia na jej brzegach. Ich poczucie wspólnoty zmieniło się i zawężyło.

To, co kiedyś było dla nich partykularne, stało się właśnie wspólnotowe, zaś dawne poczucie wspólnoty utraciło pierwotne znaczenie. Więc pośród działaczy, a nawet i zwykłych członków narasta ta fala dumy i pewności siebie wynikłej z poczucia partyjnej przynależności, wraz z pierwotną pogardą i pragnieniem poniżenia za wszelką cenę tych, którzy jawią się jako obcy. Prawdę mówiąc, nie jest na razie jasne, czy to tylko jakieś lokalne i przemijające apogeum lokalnego fenomenu polskiego partyjniactwa, czy raczej proces znamionujący kierunek, w jakim podąża europejska polityka.

Jan Rokita

**Tekst ukazał się w najnowszym numerze tygodnika Nowa
Konfederacja**